



W drodze do Pariacoto



Motocyklowa pielgrzymka

W 2015 roku trzech polscy misjonarze pokonali na motocyklach w sumie sześć tysięcy kilometrów, aby w Peru wziąć udział w beatyfikacji polskich męczenników.

TEKST: KS. TOMASZ DENICKI, MISJONARZ Z DIEC. SIEDLECKIEJ

TO MOŻE SPOTKAĆ KAŻDEGO Z NAS

Kiedy przyszedł czas mojego wyjazdu na misję do Boliwii, znajomi z niepokojem mówili, że jadę na kontynent, gdzie dwóch polskich franciszkanów poniosło śmierć męczeńską. Nie wiedziałem wtedy, o kogo konkretnie chodzi. Dopiero kiedy zrobiło się głośno o ich beatyfikacji, dowiedziałem się, że byli to franciszkanie o. Zbigniew Strzałkowski i o. Michał Tomaszek, którzy zginęli w Pariacoto w Peru.

Potem przyszła mi refleksja, że byli oni misjonarzami takimi jak ja i że taka męczeńska śmierć może spotkać na misjach każdego z nas... Nie dawało mi to spokoju i wtedy pomyślałem, żeby wybrać się na ich beatyfikację, choć była to duża odległość. Wraz z moimi dwoma kolegami misjonarzami ks. Pawłem Żukowskim i ks. Kazimierzem Stępniewskim, posługującymi w Boliwii, postanowiliśmy pojechać do Peru. Zdecydowaliśmy wyruszyć tam na motocyklach, bo to nasza wspólna pasja. Od najmłodszych lat interesowałem się motocyklami, a w Boliwii motocykl służył mi na co dzień jako środek transportu, w duszpasterstwie, w wyjazdach do licznych wiosek w parafii.

Zrobiłem więc plan trasy i według moich obliczeń mieliśmy dotrzeć na miejsce dzień przed uroczystościami.

MIMO PRZECIWNOCI

Już na początku pojawiło się wiele komplikacji. Koledzy, którzy mieli do mnie dojechać z odległych stron Boliwii, spóźnili się o jeden dzień, ponieważ podczas przeprawy jakiś samochód wpadł do rzeki. Przez wiele godzin prom był zablokowany, przez co mieli spore opóźnienie w dotarciu do punktu naszego spotkania, czyli do centrum miasta Cochabamba. Ostatecznie zdecydowaliśmy spotkać się tuż przed granicą z Peru, niedaleko La Paz. I tak też się stało, tyle że w nocy, kiedy to na wysokości ponad 4 tys. metrów n.p.m. jest wyjątkowo zimno. Cieszyliśmy się jednak, że dalej możemy jechać już wspólnie.

Ruszyliśmy rano, ale okazało się, że kolega nie zamknął gaźnika i wszystko w motorze zostało zalane benzyną, co oznaczało kolejny postój.

Na przejściu granicznym, które przypominało bazar pełen ludzi przemieszczających się w różne strony, musieliśmy załatwiać dodatkowe dokumenty i formalności.

PRZEZ GÓRY I PUSTYNIE

Po przekroczeniu granicy droga prowadziła przez góry, docierając do Andów. W pewnym momencie znaleźliśmy się na wysokości prawie 5 tys. metrów n.p.m., a po obu stronach drogi leżał śnieg.



W oczekiwaniu na Mszę św. beatyfikacyjną



Fot. Autora

Droga była pełna zakrętów, urwisk, przejazdów obok przepaści, ale za to mogliśmy podziwiać przepiękne i surowe widoki. W pewnym miejscu była tak wąska, że dwa samochody nie były w stanie się wyminąć. Na niektórych odcinkach było bardzo niebezpieczne, więc nie mogliśmy przyspieszyć, aby nadrobić stracony czas. Przewidywałem, że z powodu opóźnionego wyjazdu i jadąc wybraną trasą, nie zdążymy na rozpoczęcie uroczystości. Zdecydowałem się więc zmienić szlak, by dotrzeć do autostrady Panamericana, która położona jest niżej, a przede wszystkim jest prosta i szeroka. Podczas podróży teren zmieniał się jak w kalejdoskopie. Dotarliśmy do takiego miejsca, gdzie obszar był niemal pustynny.

Do motocykla była przecze-piona flaga Polski, ponieważ chcieliśmy zaznaczyć, że jesteśmy z Polski i że jedziemy na beatyfikację Polaków.

NIEZWYKŁE SPOTKANIA

Po sześciu dniach w końcu dotarliśmy do miasteczka Chimbote. Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, zobaczyłem coś niesamowitego. Niemal na każdym słupie wisiała flaga Polski, Włoch i Watykanu. Na wszystkich bilbordach były zdjęcia męczenników. W oknach wisiały ich obrazy, a całe domy były pięknie udekorowane. Widać było, że miasto żyje tym wydarzeniem.

Życzliwy taksówkarz poprowadził nas na właściwe miejsce. Okazało się, że jest ono poza miastem. Czekając na rozpoczęcie uroczystości, byliśmy uradowani, że jesteśmy wśród swoich. Było dużo polskich misjonarzy, których wcześniej poznałem między innymi w Centrum Formacji Misyjnej w Warszawie.

Spotkaliśmy się także z o. Markiem Dubanikiem OFM Conv, który był kursowym kolegą jednego z męczenników, oraz z rodziną beatyfikowanych. Miałem wrażenie, że dotykam historii, która jest nadal żywa. To było niezwykle przeży-

cie – spotkać tylu Polaków na obczyźnie: siostry zakonne, księży, zakonników i osoby świeckie.

WYJĄTKOWE MIEJSCA

W dniu beatyfikacji, 5 grudnia, na stadionie, gdzie odbywała się uroczysta Msza św., zgromadziło się mnóstwo ludzi. Zdziwiło mnie, że jest bardzo dużo wojska i policji, ale wkrótce dowiedziałem się, że Sendero Luminoso

(Świetlisty Szlak), który zamordował naszych misjonarzy, nadal działa i stanowi zagrożenie.

Trzeciego dnia uroczystości beatyfikacyjnych pojechaliśmy do Pariacoto, do pięknie położonego w górach miejsca, gdzie misjonarze zostali zamordowani i pochowani.

Dowiedzieliśmy się, że w tamtym czasie w Pariacoto posługiwało trzech polskich misjonarzy, ale jeden z nich akurat wyjechał na urlop do Polski – i dzięki temu przeżył. To on w czasie Mszy św. wniósł relikwie swoich współbraci. Dla mnie było to niezwykle głębokie przeżycie.



Relikwie
bł. Męczenników

WRACAMY Z BEATYFIKOWANYMI

Po Eucharystii beatyfikacyjnej otrzymaliśmy relikwie bł. o. Michała i bł. o. Zbigniewa, które zabraliśmy do Boliwii, do naszych parafii. Wracaliśmy inną drogą, która była łagodniejsza i prostsza, ale nie bez wspinania się na góry, gdzie było bardzo zimno. Miałem świadomość, że wieziemy relikwie polskich męczenników, misjonarzy, którzy stali się szczególnymi patronami mojego misyjnego powołania.

Podróż zajęła nam w sumie dwa tygodnie, w ciągu których pokonaliśmy na motocyklach sześć tysięcy kilometrów. Z powodu trudnych warunków klimatycznych i braku wygód wyprawa ta miała wartość oczyszczającą i umacniającą. Głęboko przeżyłem czas beatyfikacji naszych braci misjonarzy. Była to dla mnie pielgrzymka bogata w różne nowe doświadczenia, przygody i refleksje. Wróciłem szczęśliwy. ●